

I

To miał być jeden z tych zwykłych dni, jakie co rano ustawiają się w kolejce do przeżycia, od tygodnia taki sam i niezmienny. Rozpoczynający się bułką z kefirem, a kończący niespokojnym snem w pustym pokoju. Taki miał być, ale radość i chęć tworzenia, jaką czuł, czyniły ten dzień innym od poprzednich, lepszym. Rozpierał go zapal, którego mu ostatnio tak bardzo brakowało. Natychmiast chciał malować.

Zjadł szybko swoje skromne śniadanie i przeciągnął się tak długo, jakby próbował objąć ramionami cały świat. W jego małym pokoju, który wynajmował od starej kobieciny, było ciemno jak w nocy. Odsłonił ciężkie, brudnoszare kotary, a ośmielone tym promienie rannego słońca zatańczyły po brązowych, przykrytych warstwą kurzu meblach.

Gdzieniedzie poniewierały się brudne od farby pędzle, które próbował pozbierać i upchać do tak samo brudnej torby. Jego nieogolona twarz wspaniale współgrała z nieładem panującym dookoła. Pędzle skutecznie broniły się przed zamknięciem. Poddał się, usiadł na niezaścielonym łóżku i utkwiał wzrok na kartce, leżącej obok pustego pudełka po kefirze.

To był jego ostatni rysunek. Twarz dziewczyny z prawie niezauważalnym uśmiechem. Złapał ten uśmiech wczoraj, kiedy rozkładał swoje sztalugi. Przyglądała mu się zachłannie, jakby chciała zapamiętać każdy jego ruch. Jest do tego przyzwyczajony. Kiedy maluje na ulicach, ludzie często przystają i patrzą z zaciekawieniem, dzieci nieśmiało pytają, jak to jest być artystą (pewnie słyszały to słowo w telewizji), a dorośli szepczą coś o wariatach i dziwakach. Ale jej twarz była inna i od razu to zauważył. To była fascynacja – fascynacja, którą dobrze znał. Ta sama, jaką czuł, gdy będąc dzieckiem, w prenumerowanym przez ojca czasopiśmie oglądał dzieła Salvadora Dali, Michała Anioła czy Leonarda da Vinci, i wtedy, gdy sam wziął w rękę pędzel. Nic o niej nie wiedział i wcale go nie intere-

sowała. Już dawno znudził się kobietami, a mimo tego właśnie ona obudziła w nim natchnienie.

Na-tchnie-nie.

Z zadumy wyrwał go gołąb, który przysiadł na parapecie, odpoczywając przed dalszym lotem. Gołębie też już go znudziły. Na placach, gdzie pracował, było ich pełno.

Owinął się długim zmechaconym szalikiem i starannie, jak wielokrotnie nakazywała mu właścicielka klitki, zamknął za sobą drzwi. Schodził po ciemnych stromych schodach. Gdzieś w połowie przystanął, poprawił sztalugi pod pachą, a z kieszeni płaszcza wyjął dwie małe, białe tabletki. Często żartował, że to lek na demony. Tak naprawdę miał działać na lęki i głosy, które pojawiały się w jego życiu z taką samą nieregularnością, z jaką on zażywał swoje proszki. O okresie szpitali i długich rozmów z lekarzami wołał nie pamiętać. Gardził wszystkim i nie uznawał żadnych wartości z wyjątkiem jednej: kochał wolność.

Kiedy znalazł się na ulicy, owiał go rześki wiatr. Jesień uwielbiał i nienawidził jednocześnie. Uwielbiał za jej piękno, melancholie i długie smutne wieczory, kiedy przy słabym świetle mógł kończyć swoje obrazy, a nienawidził, bo tak szybko marzły mu ręce. Szedł szybkim krokiem, tak jakby się dokąś spieszył – to jego ostatni dzień w tym mieście. Chciał znaleźć coś wyjątkowego. Jeden szczegół, którym zamknie całe piękno wąskich uliczek, kolorowych kamienic, powolnych ruchów mima i tamtego uśmiechu.

Tego dnia malował bez chwili odpoczynku. Od stania przy sztalugach bolały go nogi, a na czole srebrzyły się kropelki potu. Jego roziskrzone spojrzenie przenosiło się z kartki na wąski przesmyk między dwiema kamienicami i górującą nad nimi wieżą kościoła po to, aby wrócić zaraz na kartkę i kilkoma samolubnymi ruchami pędzla tylko dla siebie zatrzymać piękno tego miejsca.

Kiedy wrócił do nędznego, nieogrananego pokoju, był zmęczony i głodny, ale nie to było w tej chwili najważniejsze. Był wściekły na siebie za to, że przez cały dzień czekał na dziewczynę...

Tyk... cze... tyk... kał... tyk... cze... tyk... kał... tyk... cze... tyk... kał...

W swoim życiu miał wiele kobiet, chociaż nigdy nie zabiegał

o ich względy. Był dumny i oschły, a mimo to go kochały, bo był tajemniczy, miał w sobie wolność i zarażał pięknem, nie mówiąc ani słowa. Były przerwą na kawę podczas pracy, bez znaczenia, bez kontynuacji. A później znikał, ciągle w podróży, goniący za wiatrem. Pytany, czy była w jego życiu kobieta, którą naprawdę kochał, milczał... Denerwowały go puste, banalne pytania.

Dzisiaj zasypiał, mając przed oczami wąski oświetlony słońcem przesmyk między dwiema kamienicami i pełen entuzjazmu uśmiech dziewczyny.



Odwołali przedostatni wykład, można więc było posiedzieć na ławce przed Instytutem i pogapić się bezmyślnie na spadające liście. Jesienna wolność. Była wśród nich ona. Miała może dwadzieścia lat, długie brązowe włosy, okulary w grubych czarnych oprawkach, krótką spódniczkę i brudne zniszczone trampki. Opowiadała coś i śmiała się wesoło. Wesoło, mimo wielkiej, niespełnionej miłości. Miłości, którą spotyka się znudzoną na ulicy, o której wszyscy wszystko już wiedzą, spowszedniałą, naiwną i modną, tak modną, że aż sztuczną.

Zastanawiała się czasami, jak by wyglądało jej życie, gdyby to wszystko się nie wydarzyło.

Czy to nadal byłaby ona?

Spotkała go w liceum. Była szarą myszką, a on bożyszczem dziewcząt. Ona ukrywała się w cieniu koleżanek, on świecił blaskiem jak gwiazda z telewizora. Żyła głupiutką nadzieją kupioną za jeden uśmiech. Cały rok wierzyła, że to może się udać. A później bum... wielkie bum!

Wykrzyczała mu do słuchawki, że kocha i... pewnie nie powinna tego mówić, ale inaczej nie umie, nie może, nie chce.

Zaczęły się spotkania, spacer, uśmiechy. Była szczęśliwa, zwyczajnie po ludzku...

Aż pewnego dnia to on wykrzyczał jej do słuchawki, że ma dziewczynę. Przepraszał. Nie słyszała. Usiadła nieruchomo w fo-

telu. Nie płakała, nie rozpaczała, tak jakby każdy najmniejszy ruch miał przynieść ze sobą ból. Udawała przed całym światem, że nic wielkiego się nie stało. Potem było już tylko gorzej. A jemu nic nie powiedziała, bo nadal był najważniejszy.

Kiedy wracała, było już prawie ciemno. Szła wolnym krokiem, nigdzie się nie spiesząc. Myślała. To tu przedwczoraj spotkała tego malarza. Nie myślała, że tacy ludzie jeszcze istnieją. Biła od niego pasja i miłość do piękna. Była zauroczona. Dawno nie widziała nikogo równie ciekawego, „klimatycznego”, jak by powiedziała Olka, kumpela ze studiów.

A rządy nad światem przejęła noc... cicha... czarna noc.

* * *

Kiedy wczoraj kończył malować, czuł się dziwnie. Był smutny. W swojej pracy często wznosił się na wyżyny ekstazy lub opadał bez uczucia, ale nigdy nie był to smutek, raczej zniechęcenie, brak entuzjazmu. Ale dzisiaj poczuł go tak mocno, że prawie namacalnie. Stał pochylony nad płótnem, a każdy ruch pędzla – linia, plama, cień – zbliżały go do końca. A on tak bardzo nie chciał kończyć...

Efekt był zachwycający. To tak jakby ktoś na moment zatrzymał wirujący świat, wszystko zastygło w bezruchu. On też chciał się w tym pogрузić, zamknąć w stworzonym przez siebie świecie... Stał tak jeszcze przez moment, wpatrzony w pejzaż, który przed chwilą żył pod jego palcami. Zwinął swoje sztalugi, pochował pędzle i odszedł w stronę zimnego mieszkania. Cały majątek był już spakowany, wystarczyło wejść i zabrać walizkę z kilkoma mocno schodzonymi ubraniami, grzebieniem z połową ząbków, trzema ulubionymi książkami i karteczką z telefonem do doktora Lewińskiego. Najgorszego – jak mówił – psychiatry na świecie, ale też do jedy-
nego, jakiego znał.

Dziwnie zdenerwowany stał pod drzwiami skąpej staruszki. I chociaż wczoraj tłumaczył jej, że wyjeżdża, to i tak kazała mu zapłacić za tydzień z góry. Powrót zaplanował na poniedziałek, a ona twierdziła, że nie wynajmie nikomu od wtorku, bo najwięcej klientów jest właśnie w poniedziałek i będzie stratna. Nic nie rozumiał

z tego jej chaotycznego bełkotu i, choć nie był typem potulnego baranka, nie chcąc go dłużej wysłuchiwać, postanowił ugiąć się pod ciężarem argumentów i zapłacić.

Teraz stał pod jej drzwiami, żeby oddać klucze i, choć dawał upust swojemu gniewowi pukając i krzycząc, nikt nie kwapił się, by otworzyć. Zza drzwi odpowiadała tylko głucha cisza. Postanowił więc zostawić swój dobytek w zapłaconym jeszcze pokoju i przejść się trochę. Kobieta na pewno wróci przez ten czas, wtedy odda klucze i wyjedzie.

Szedł wąską, wysypaną żwirkiem drogą. Dookoła panowała cisza, a jedynym odgłosem były szeleszczące pod stopami liście. Zastanawiał się, jak będzie wyglądało jego ostatnie spotkanie ze starą kobieciną, do której czuł tylko niechęć. Niechęć? Durna, stara baba! Nie cierpiał jej, wyrwała mu ostatnie pieniądze. Kopnął ze złością drobne kamyczki.

Przeszedł kawałek i trochę się uspokoił. Nie chciał tracić na myślenie o tej pomarszczonej lichwiarce ostatnich chwil w mieście, które stało się dla niego tak ważne.

Miasto, które stało się dla niego ważne... To tu namalował portret dziewczyny, w której oczach wyczytał pasję, i spotkał żebraka, który opowiedział mu o szczęściu.

„Jestem szczęśliwy – mówił – nie mam domu, ale kto powiedział, że bez niego nie można być?... Moim domem jest świat. Nie mam pieniędzy, ale mam marzenia... I... i co dnia mogę patrzeć na ludzi zadowolonych z siebie. Są tacy dzięki mnie. Kiedy wrzucają tu, do kubka parę groszy, rośnie w nich duma, że są miłosierni, lepsi od innych. I tylko są zdziwieni, że nie rozstały się niebiosy i chóry anielskie nie zaczęły swej pieśni, a im samym z tej dobroci nie wyrosły skrzydła. Oni są szczęśliwi i ja...”

Bał się smutku. Uważał, że ogranicza wolność. Bał się wszystkich uczuć. Przez całe swoje dotychczasowe życie uciekał przed mi-

łością. Nie chciał być do nikogo i niczego przywiązany. Do tego miasta również.

II

Często jedna decyzja w naszym życiu może zaważyć o wszystkim, choć początkowo nic na to nie wskazuje. Tym razem życiowa decyzja zaprowadziła go do mocno podejrzanej, obskurnej knajpy. Po krótkim i niedokładnym obejrzeniu miejsca, co pewnie spowodowane było unoszącym się wszędzie papierosowym dymem, postanowił zostać. Usiadł przy jednym ze stolików. Wybór niewielki, bo prawie wszystkie były zajęte. Atmosfera lokalu bynajmniej nie odstraszała klientów. Zamówił jakieś alkoholowe bełty. Siedział, pił i rozmyślał...

Wiedział, że tak naprawdę nie ma dokąd wracać. Jego mieszkanie w centrum Krakowa zamieszkiwały: kurz, książki i pędzle. Wstępował tam tylko po czyste rzeczy w przerwach między kolejnymi podróżami. To dawno przestał być dom. To była poczekalnia. Lubił atmosferę Krakowa i zawsze dobrze mu się tam pracowało. Tym razem jednak bał się zastać pusty dom, cztery ściany, w których nikt na niego nie czeka. W których znów będzie mieszkał jedynie ze swoimi fobiami.

Pił, bo znowu po wielotygodniowej kuracji źle się czuł. Przez moment przestraszył się nawet, że to powrót choroby. Uspokoił go dopiero telefon do doktora Lewińskiego, który winił za to przemęczenie. O tak, był przemęczony. Od tygodnia całe dnie spędzał w mieście, malując swoje obrazy lub próbując je sprzedać. Niewiele jadł, niewiele spał, a mimo tego czuł niemalże euforyczną radość tworzenia. Aż do dzisiaj...

Pił trochę z nudów, a trochę z kaprysu. Mieszkała w nim dusza artysty i dziecka. Dusza, która musiała walczyć z burzą szaleństwa. Często siadał na ławce i zaczynał płakać.

Bez powodu... czuł smutek... swój wielki ból świata. Pił, bo akurat nie miał nic innego do roboty, na nic ochoty i natchnienia.

Do domu dotarł rano. Kolejnych etapów pokonywania tej dro-

gi nie pamiętał. Spał gdzieś na ławce i czuł, że siąpi deszcz. Ale kiedy obudził się rano pod drzwiami swojego mieszkania, czuł już tylko ogromny ból głowy. Z trudnością wszedł do środka i dopiero widok spakowanej walizki nieco go orzeźwił. Powinien dziś być już w Krakowie.

Ale zapłacił za pokój, więc może też zostać. Wydał wszystkie pieniądze, nie ma za co wrócić... Milion myśli, które nagle zaczęły w jego umyśle szalony taniec, za nic nie dawały się okiełznać, potęgując i tak mocny ból głowy. Chciał je jakoś poukładać. Wiedział, że musi wrócić, wiedział, że musi coś jeść... Pieniądze po raz pierwszy w jego życiu stały się poważnym problemem. A myśl, która właśnie przemknęła przez jego głowę, wydawała się być jedyną słuszną: „Tak, sprzedam obraz dziewczyny” – pomyślał.

★ ★ ★

Siedziała skulona na ławce i wyglądała na mocno przygnębioną. Było jej zimno. Remont w Instytucie objawiał się jak na razie tylko nieprzyjemnie niskimi temperaturami. Wymiana kaloryferów wszystkim dawała się we znaki. Ale ona była gdzieś daleko. Nie interesował jej bałagan, zimno ani ławka, na której przesiedziała już prawie godzinę. Jeszcze kilka dni temu była pewna, że randka z chłopakiem to szczyt marzeń każdej dziewczyny. Denerwowały ją całujące się na ulicach pary przytulone na przystankach autobusowych i zakochani, spacerujący w stronę nieba. A najbardziej denerwowało ją to, że została przez los wypchnięta poza nawias tych szczęśliwców.

Dzisiaj, kiedy siedziała na twardej uniwersyteckiej ławce zmarznięta i zmęczona, a co najgorsze, czekająca na chłopca, całkowicie zmieniła zdanie. Olek długo nalegał na to spotkanie, był miły, dowcipny i, jak to się mówi, dobrze wychowany, a ona bała się odmówić. Wiedziała, że ma wszystkie cechy „świętego”... Lubiła go. Lubiła... i tyle. Nie był Wiktorem i choć już dawno chciała zapomnieć tamto imię i raniące wspomnienia, to stypę po swojej miłości wolała by świętować sama, a nie z Olkiem.

Dopiero niewysoki pan w średnim wieku z chwiejącym się na rę-

kach stosem książek, który dopiero co wszedł do Instytutu, przerwał jej rozmyślania

– Dzień dobry, panie doktorze – zagadnęła.

– O, witam! – odpowiedział, cały czas próbując utrzymać książki w pozycji pionowej.

– Może pomóc? – zapytała. Była to raczej nieśmiała propozycja, nieczekająca na odpowiedź, ale nieoczekiwanie wywołała miły entuzjazm.

Kiedy szła, niosąc sterty zakurzonych prac, wyobrażała sobie Olka, siedzącego teraz na ławce. Będzie czekał, może nawet zrobi mu się przykro, ale przecież to nie jej wina, ona inaczej nie potrafi, szczerość jest zbyt trudna. Będzie nerwowo spoglądał na zegarek, a później pomyśli, że go oszukała. Każdy kolejny stopień schodów wydawał się zbyt krótki i zbyt szybko znikał pod nogami. Kiedy doktor Lemanowicz przekręcił klucz w zamku do drzwi Instytutu, wszedł Olek, ale to już nie miało najmniejszego znaczenia. Była wysoko i daleko od niego, już nie musiała na siłę udawać szczęśliwej. A przez jego głowę przeleciało jeszcze tylko kilka krótkich frazesów o tym, że na pewno przyjdzie, po czym wyszedł.

Kiedy szła do domu, było już prawie ciemno. Jakże banalnie świecił księżyc, a zakochani na przystankach autobusowych znowu ją denerwowali.



Obudziło go nieustające mruczenie zza drzwi. Wbrew swojej woli wstał, aby sprawdzić, do kogo należy dochodzący mruk. Odpowiedź go nie zaskoczyła, bo za drzwiami siedział... kot. O nie, nie jakiś tam dachowiec, ale prawdziwy arystokrata z lśniąco sierścią i nienagannymi manierami. Nie zamierzał go wpuszczać do środka, ale w końcu ugiął się pod proszącym spojrzeniem gościa. Wszedł niezbyt szybko i nachalnie, stąpał bezszelestnie, oglądając wszystko dookoła. A gospodarz miał tylko dwa wytłumaczenia na jego obecność: albo jest jeszcze pijany, albo ciągle śpi. Drugą wersję od razu wykluczył. A pijany też się nie czuł. Zwierzę jest więc postacią realną i należy się go jak najszybciej pozbyć.

Kot niestety został, tak jak brak pieniędzy, a do tego jeszcze domagał się mleka. Ale nie to było dziś najgorsze. Kończyły mu się leki, powrót do doktora był niemożliwy, a znalezienie nowego nierealne, no i drogie. A poza tym po serii kłótni i pyskówek w gabinecie nabrał wreszcie zaufania do doktora, jak go pieściotliwie nazywał, i nie miał zamiaru opowiadać swojego życia jakiemuś nieopierzonemu gogusiowi, a co najgorsze, nowemu gogusiowi.

Przypomniła mu się nagle Agata. Kiedy ją poznał, był zagubionym, buntującym się nikiem. Mieszkała w tej samej wiosce co ciotka, u której spędzał wakacje. Ludzie mówili o niej, że jest dziwna, i starano się jej unikać.

Chodziła po łąkach i rozmawiała z aniołami, plotła wianki z kwiatów, tańczyła w kałużach i kochała nowego przyjaciela z miasta...

On też ją kochał, kochał do szaleństwa, kochał wszystkimi komórkami swojego ciała. I porzucił. Porzucił nieodwracalnie. Wsiadając do pociągu i wracając do domu, porzucił na zawsze. Gdzieś daleko w sercu chciał zostać, obsypać ją milionami pocałunków, płuć na ludzi, na biedę, na wszystko. I kiedy już prawie uległ pokusie, o swoje prawa upomniła się wielka Pani Sztuka. Pokazała mu banał miłości do paplającej głupstwa wieśniaczki, piszącej niedorzeczne wiersze oraz tańczącej po polach i drogach. Przypomnił sobie o planach, obrazach, które miał namalować, i studiach, które wiernie na niego czekały... Przy tym wszystkim miłość nie miała szans...

Już od ponad godziny przyglądał się portretowi dziewczyny. Na dworze było ciemno i chłodno. Tylko mała lampka oświetlała ponury pokój. Patrzył na niego ze spokojem człowieka, który stracił wszystko. Nie było wyboru – farby i pędzle już czekały, należało wyruszyć w miasto, namalować nowe marzenia i sprzedać stare. Ciężko było, ta niema dziewczyna była, nie licząc kota, jedyną jego towarzyszką. Wczoraj, kiedy sprzedawał „Widok na ulicę snów”, który malował z taką starannością i który miał być jego wspomnieniem z tego miasta, czuł się jak prostytutka, sprzedająca kawałek siebie.

Sztuka za chleb? Wydało mu się to głupie, ale uśmiechnął się sam do siebie. To był skrzywiony ironiczny uśmiech.

III

Dzień przeciągał się i ziewał. Bardzo nie chciało mu się obudzić. Ludzie, jak w somnambulicznym śnie, wykonywali wyuczone ruchy. Stała znudzona na przystanku, czując, że coraz bardziej zlewa się z szarą masą ludzi śpieszących się donikąd. Bilet, tramwaj, tłok i szkoła, czyli tak jak codziennie. Tyle że tym razem spotkała jeszcze ich. Tego od dwóch lat bała się chyba najbardziej na świecie. Opierała mu głowę na ramieniu. Jej długie blond włosy beładnie spływały. Nie widziała jej twarzy, ale znała ją dobrze z koszmarów, więc nie była już ciekawa. Wsiadła tu z przekonaniem, iż jest kimś wyjątkowym. A teraz w tej jednej krótkiej chwili stała się małą. Małutką jak mrówka na szynach wpatrzona w dwa duże, jasne światła pędzącego na nią pociągu. To jak filmowa klatka, która właśnie się zatrzymała. Jechała gdzieś niebieskim tramwajem, ale to już nie miało znaczenia, bo jasne blond włosy spływały po ładnym męskim ramieniu.



Niespodziewanie przypomniła się mu młodzięcza miłość. Nie myślał o Agacie od tamtych wakacji, od kilkunastu lat... Historia jednego banału... której nigdy nie żałował, o której prawie już zapomniał. Ale smutne oczy dziewczyny z portretu, domagały się wspomnień i prawdy o człowieku, który je zauważył. Kiedyś, gdy wchodził w świat, był wolnością, a wolności nie da się opowiedzieć, trzeba ją poczuć, trzeba usłyszeć jej śpiew, trzeba dotknąć jej własnymi stopami. A teraz? Teraz próbował wmówić sobie miłość do sztuki, chciał wierzyć, że jest niezależnym artystą, który chodzi własnymi ścieżkami. Za wszelką cenę łapał szczęście. A ono ulatywało z niego jak motyle cierpiące w szarości, pragnące piękna i koloru. Od dawna przestał być wolny, bo od dawna przestał być szczęśliwy.